

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 4(40)

WARSZAWA

1961

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

СОДЕРЖАНИЕ

СТАТЬИ

451
452

Юзеф Билянски, *Ibn Tufajl* — арабский историк и поэт
Богуслав Мрозек, *Гłówne cechy systemu partyjnego w Indii*

SPIS TREŚCI

ЛІТЕРАТУРНІ ПРОМОВЛЕННЯ

ARTYKULY

Юзеф Сейфеттин, *Фарма* (перевод с турецкого) Г. Рымкевича 451
Богуслав Мрозек, *Гłówne cechy systemu partyjnego w Indii* 459

ЛІТЕРАТУРНІ ТВОРИ

473
Юмер Сейфеттин, *Falaka* (з турецкого, переклала С. Рымкевич) 465

Z PRACOWNI LEKSYKOGRAFICZNEJ
ZAKŁADU ORIENTALISTYKI PAN

482
483
Ян Рейхман, Едуард Трыжарски, *Z leksykografii Ormian polskich XVII i XVIII w.* 475
Казимierz Росзко, *Ormianie polscy jako autorzy słowników ormiańskich* 479

MATERIAŁY I NOTATKI

487
488
489
Крыстына Скаржыńska, *O egiptskich studiach w dziedzinie folkloru* 485
Ян Рейхман, *Ada Kale — turecka wyspa na Dnieprze* 493

RECENZJE

Z KSIĄZEK
Franciszek Machalski, Wędrowki irańskie (Jan Rypka) 497
Janusz Pajewski, Buńczuk i koncerz (Teresa Nagrodzka) 500
The Literary Review (Edward Tryjarski) 501
T. Keszczawa, Chudożestwiennaja proza Sadeka Chedajata (Maria Składanek) 504
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 507

KRONIKA

412
413
414
Казимierz Михаіowski, *Wspomnienie pośmiertne o Tadeuszu Andrzejewskim* 511

*

Z życia naukowego na polu orientalistyki
Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów 515
Wizyty zagranicznych uczonych w Polsce 515
Kronika naukowa 515
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie 516

SPIS TABLIC

4
Do Pracowni Leksykograficznej Zakł. Orient. PAN 494
Do materiałów i notatek 494
TABL. VI—XIII

ТРАДУЦІЇ

Winiętka na okładce przedstawia arabski motyw dekoracyjny Юмер Сейфеттина

FALAKA

ZE WSPOMNIEN DZIECIŃSTWA

Rozświergotani jak stado wróbli przechodziliśmy każdego ranka obok zrujnowanej stajni żandarmerii, znajdującej się poza meczetem Czarszy. Budynek szkolny był nieco wysunięty ku przodowi... Stał na środku dość szerokiego podwórka, ściany miał niskie. Szkoła była jednopiętrowa. Cały jej dach pokrywały ciemne cienie splątanych ze sobą wielkich kasztanów, rosnących dookoła. Zanim weszliśmy przez bramę podwórka, wystarczyło jedno spojrzenie, by widzieć czy jest Hodża Efendi, czy go jeszcze nie ma:

— Czy Abdurrahmancelebi już przyszedł?

— Przyszedł, przyszedł...

Abdurrahmancelebi był to stary osioł Hodży Efendiego. Czarne, nieprzyjemne, uparte zwierzę... Co rano, tak jak my, wcześniej przychodził przed szkołę i pozostawał tam do wieczora. Stojąc w lecie pod drzewami, a w zimie pod okapem z lewej strony ustępu, zjadał powoli całe naręcza trawy, którą kolejno przynosiliśmy z domu. Pojenie i dogłądanie go było przywilejem ucznia, któremu udało się dogodzić Hodży Efendiemu.

Do szkoły wchodziło się po wąskich, kamiennych schodach. Po wejściu do wnętrza staowało się dokładnie naprzeciwko *rahlı*¹ Hodży Efendiego. Tuż przed *rahlą* wisiała ciężka *falaka*² z czarnymi rzemieniami, przypominająca małą armatkę lub też dziwnego kształtu strzelbę. Było nas czterdziestu chłopców. Przed kilku miesiącami oddzielono od nas dziewczęta i przeniesiono w inne miejsce. Podziału na klasy nie było. Chórem wykrzykiwaliśmy abecadło, chórem uczyliśmy się liczyć i chórem modlili. Wszystkie nasze lekcje były jednakowe: składały się na nie śpiewy oparte zawsze na tej samej melodii. Sensu słów nie rozumieliśmy wcale.

Hodża Efendi był to wysoki, białobrody i krzykliwy starzec. Zimą i latem siedział na ziemi, zawsze bez *dżubby*³. Jego ręce brudne i obnażone jakby czekały umycia przed *namazem*⁴. Pomocnik nauczyciela, który po południu chodził zamiatać meczet Czarszy i nie wracał do szkoły, był jeszcze młody. Spełniał

¹ *Rahl* — niski pulpit dla *Koramu*. Pulpit, ławeczka.

² *Falaka* — narzędzie kary stosowane w dawnych szkołach tureckich. Deska z otworem, gdzie umocowywało się rzemieniami nogi skazanego na obicie kijami.

³ *Dżubba* — rodzaj długiego zwierzchniego ubrania.

⁴ *Namaz* — modlitwa obrzędowa.

on również rolę *muezzina*, sprzedawał nam słodczyce, pieczony groch, chleb świętojański, jagody jujuby, dereń itp.

*

Chodziłem do szkoły od dnia, w którym przybyliśmy do Gönen. Lekcje Hodży Efendiego niczego mnie jednak nie nauczyły. Gdy rozpoczynano chóralne czytanie, przyłączałem się i zaczynałem krzyczeć cokolwiek by to było. Najgoręcej marzyłem o tym, by trzymać *falakę*. Trzymać *falakę*... Ale pewnego dnia do szkoły przyszedł z panem sędzią ktoś o twarzy bez uśmiechu, ubrany w spodnie i rodzaj surduta.

— Pan starosta, pan starosta — mówiono.

Był to człowiek brzydki, wysoki, ciemny, ogolony. Gdy tylko wszedł, na znak Hodży Efendiego wstaliśmy wszyscy. Kiwając głową i rękami, jak gdyby przywoływał jednego z nas, kazał nam usiąść. Przyjrzał się po kolei każdemu. Kilku uczniom polecił czytać. Lecz my nie umieliśmy czytać pojedynczo, tylko chóralnie. Krzywiąc się patrzył w ziemię i kręcił głową. Potem wbił oczy w wiszącą nad głową Hodży Efendiego *falakę*; patrzył i patrzył. Patrzył tak uważnie, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Odwrócił się i wychodząc bez pożegnania powiedział:

— Może wyjdzie pan na chwilę na podwórko, Hodžo...?

Hodża Efendi, złożywszy ręce w pozie pełnej szacunku, drżąc szedł za starostą i sędzią do ogrodu. Nie wiedzieliśmy o czym tam mówiono. Ale następnego dnia na dawnym miejscu nie było już *falaki*.

— *Falaka* została zakazana — mówiono — Starosta zabronił!

Gdy znikł strach przed razami, czterdziestu chłopców tak szalało, tak wariowało, że... nie wiedzieliśmy już sami co robimy. Hodży nie słuchaliśmy już zupełnie, rzucaliśmy w niego grochem, wtykaliśmy igły w poduszkę, na której siedział, chowaliśmy pantofle, zmuszając go do kilkugodzinnych poszukiwań i błagania nas o zwrot. Hodża Efendi, który rozumiał, że bez bicia nie będzie mógł nas uczyć, pewnego dnia znowu wyciągnął *falakę*, ale już nie powiesił jej nad głową. Schował za poduszkę, na której siedział. I teraz tego, kto popełnił jakieś przestępstwo, bił mocniej niż poprzednio.

*

Pamiętam dobrze jak wśród czterdziściorga dzieci skryształizowało się przymierze! Wśród nas nie było zdrajcy, przeciw Hodży Efendiemu działaliśmy jednomyślnie.

Pewnego dnia po wspólnej naradzie zaczęliśmy nagle ziewać. Hodża Efendi też zaczął poziewać i wkrótce biedny staruszek usnął w klasie. Wtedy wstaliśmy, wzięliśmy pudełko tabaki stojące na *rahli* i wszyscy zażyliśmy po szczypcie. W całej szkole rozlegało się kichanie. Hodża Efendi, którego obudził ten hałas, zrozumiał co się stało. Spytał — kto ukradł tabakę? Odpowiedzieliśmy chórem:

- Nie wiemy, nie wiemy!
- Wszystkich was wcisnę do *falaki*.
- Nie wiemy, nie wiemy!
- Czy nikt nie powie?
- Przecież nie wiemy, nie wiemy...

— Jeżeli nie wiecie, to dobrze! Nedżip, idź i zawołaj z meczetu pomocnika, tylko szybko!

Po pięciu minutach przyszedł pomocnik. Zaczęła się straszna scena. Gdy jeden wstawał z bolącym siedzeniem, już kładło się następnego. *Falakę* trzymaliśmy kolejno. Wszyscy szli rżędem pod baty.

Od tego dnia Hodża Efendi uważał ziewanie i kichanie za największe przestępstwo. Szczególnie kichanie... Tego, który przypadkiem kichnął, kładł na ziemię, bił do nieprzytomności i mówił:

— Kpicie sobie ze mnie?

Jak na złość zupełnie nieoczekiwanie miałem ochotę ziewać i laskotało mnie w nosie. Nieraz najadłem się za to batów. Skończywszy bicie Hodża Efendi uderzał z całych sił o *rahlę* i krzyczał:

— Jeżeli ktoś kichnie, to przysięgam na umowę, że będę bił aż zabije.

—

— Jeżeli kto kichnie, przysięgam na umowę...

*

W domu zapytałem matkę:

— „Przysięgam na umowę”! Cóż to za przysięga?

Pokręciła głową, rozwarła oczy szeroko i rzekła:

— To bardzo wielka przysięga!

— Czy bije się tego, który ją składa i nie dotrzymuje?

— Nie.

— A co się dzieje?

— Gorzej.

— Co?

— Jego żona rozwodzi się.

Nie zrozumiałem dobrze, lecz chłopcom w szkole przedstawiłem wyraziście groźbę tej przysięgi. Natychmiast wszyscy, jak żonaci, zaczęliśmy zarówno na kłamstwo jak i na prawdę przysięgać „na umowę”. „Jak Boga kocham, przysięgam na Boga” zostały zapomniane. Hodża Efendi też nie zapominał powtórzyć co rano, siadając przy *rahli*:

— Jeżeli ktoś kichnie, zabije, przysięgam na umowę...

*

Pewnego dnia po południowej przerwie weszliśmy do klasy. Jak zawsze straszny hałas... Zobaczyłem, że Hodża Efendi śpi. Kładąc palec na wargi, dałem chłopcom znak:

— Milczcie!

Ucichło. Wszyscy patrzyli co zrobię. Uwagę moją przyciągnęła tabakierka, wielka jak papierośnica, stojąca z otwartą pokrywką na *rahli*. Podeszedłem na palcach i wziąłem pudełko. Znajdującą się w nim tabakę wysypałem między kartki zeszytu. Otwarte pudełko postawiłem na miejscu. Dookoła mnie zebrali się chłopcy chcąc zażyć tabaki.

— Nie, nie będziemy wachać — rzekłem — bo zaczniemy kichać. Mógłby się obudzić.

— A co z tym zrobisz?

— Zobaczycie...

— Co zrobisz, co zrobisz?

— Nie mogę powiedzieć. Będziecie się śmiali.

Obmyśliłem taki figiel, że na samą myśl o nim skręcałem się ze śmiechu. Chłopcy patrząc na mnie zaśmiewali się również... Śmiech i hałas obudziły Hodżę Efendiego... Natychmiast zajrzał do pudełka. Tabaki nie było... Rozgniewał się:

— Kto wziął, niech się przyzna! Przysięgam na umowę, że zabiję jak psa.

A wszyscy chórem:

— Nie wiemy! Przysięgamy na umowę!

— Kto wziął? Mówcie!

— Nie wiemy, nie wiemy.

— Dobrze, ja wam pokażę. Kto kichnie, ma tu wyjść! Przysięgam na umowę, rzucę go na *falakę*. Będę bił aż zabiję jak psa.

Drżeliśmy ze strachu na myśl, że przypadkiem zaczniemy kichać.

Przysięgam na umowę... Jeżeli dzisiaj któryś z was kichnie... Przysięgam, zabiję jak psa.

—

Ach, przysięgam, jeżeli któryś z was kichnie... Złość Hodży Efendiego wcale nie mijała. Ja zaś pod swoją *rahłą* zwinąłem w trąbkę dwie kartki z zeszytu i napełniłem je tabaką.

*

Zbliżał się wieczór. Hodża Efendi obciągnął rękawy. Włożył pończochy i safianowe obuwie. Zarzucił na plecy swą *dżubbę*. Po odśpiewaniu chórem tabliczki mnożenia rozpoczęliśmy hymn religijny. Pod koniec szturchnąłem siedzącego obok chłopaka i wstałem. On też. Podnieśliśmy ręce. Hodża Efendi krzyknął:

— Co tam?

— Możebyśmy przygotowali Abdurrahmanczelebiego?

— A no dobrze, prędko!

Wybiegliśmy. Co wieczór, za zgodą Hodży Efendiego, dwóch chłopców wychodziło wcześniej, aby założyć na osła uździenicę i juczne siodło. Zbiegliśmy

po kamiennych schodach. Abdurrahmanczelebi leżał wyciągnięty na trawie, której nie zjadł. Kopniakami zmusiliśmy go do wstania. Założyliśmy uździenicę i siodło. Właśnie ucichły głosy modlitwy. Wyciągnąłem z teczki papierowe tubki wypełnione tabaką. Jedną z nich przechyliłem powoli. Abdurrahmanczelebi jeszcze nic nie rozumiał. Z całych sił wdmuchnąłem mu w nozdrza zawartość jednej z tubek. Osioł stanął dęba, jakby mu kto weisnął pięść w dziurkę od nosa. Drugiej rurki już nie mogłem wydmuchać. Trzymałem za uzdę. Podprowadziłem osła pod kamienne schody, ciągnąc go i popychając. Kolega szedł obok mnie i aby się nie śmiać zasłaniał ręką usta. Hodża Efendi ubrany w *dżubbę* powoli i poważnie zstępował ze schodów. Wszyscy chłopcy schodzili za nim na sztywnych nogach, jak żurawie. Osioł stawał dęba.

- Co się stało temu zwierzęciu?
- Nie wiem, panie, spał...
- Może okiełznaliście go źle?
- Nie...
- Podprowadźcie, zobaczę.

Chłopcy też patrzyli. Podprowadziłem osła do kamiennego schodka. Właśnie w tym momencie Abdurrahmanczelebi, jak człowiek, którego chwyta katar, potrzęsął głową i:

- Psik, psik...

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Hodża Efendi zdębiał. Abdurrahmanczelebi pod wpływem tabaki kichał fachowo. Ja, jakgdybym o niczym nie wiedział, powiedziałem:

- Nabija się z pana...
- Zglupiałeś...

Stałem się jeszcze bardziej bezczelny:

- Musi go pan również rzucić na *falakę*.
- Przecież to zwierzę...

Chłopcy skracając się ze śmiechu krzyczeli:

- *Falaka, falaka...*

Dodali mi odwagi.

— Hodża Efendi — mówiłem — powiedział pan: „przysięgam na umowę”, jeżeli ktoś dzisiaj kichnie powalę go na *falakę*. Jeśli pan przebaczy Abdurrahmanczelebiemu, pańska żona rozwiedzie się z panem.

Chłopcy, jak na lekcji, wykrzykiwali jednogłośnie:

- Pańska żona rozwiedzie się! Pańska żona rozwiedzie się...!

Hodża Efendi osłupiał. Patrząc z przerażeniem gładził pieszczotliwie zwierzę, które miał dosiąść i mamrotał:

- Mój Abdurrahmanczelebi, o mój Abdurrahmanczelebi.

Stojący najbliżej drzwi chłopak pobiegł do klasy, wyciągnął *falakę* i kij. Biedny Abdurrahmanczelebi kichając bez przerwy, usiłował nos zakopać w ziemię.

Falaka i kij, podawane z rąk do rąk, znalazły się przed Hodżą Efendim.

- Pańska żona rozwiedzie się! Pańska żona rozwiedzie się! — powtarzali

skandując. Hodża Efendi, który już sam nie wiedział na kogo się gniewa, na osła czy na dzieci, zdecydowanie — jakby nie był starcem — rozkazał:

— Powalić!

Chyba ze dwudziestu chłopców doskoczyło do Abdurrahmancelebiego. Po długich wysiłkach powaliliśmy go na ziemię. Tylne nogi umocowaliśmy w *falakę*. Hodża Efendi wziął kij i zaczął walić jak kowal: „tak, tak”. Osioł tarza się, dzieci krzyczą, śmieją się, wyją... Wrzask nie do opisania! Nagle chłopak, stojący z tyłu, krzyknął:

— Pan starosta.

Wszyscy zamilkli. Odwróciliśmy się w kierunku bramy: stał tam człowiek o zgorzkniałym wyrazie twarzy, ubrany w spodnie, w rodzaj surduta i czerwony fez... A po bokach — żandarmi.

— Co się dzieje, Hodża Efendi? — zapytał.

—

Hodża Efendi okropnie się zmieszał. Spojrzał przed siebie. Kij wypadł mu z ręki. Ci, którzy trzymali *falakę*, puścili ją. Przerażony, lecz uratowany osioł, wierzgając i przeraźliwie rycząc, uciekł pod kasztany. Na podwórze wchodzi starosta. Idzie bardzo wolno. Zbliża się. Brwi ściągnięte. Pyta ze złością:

— Co robiliście?

— Tego... panie...

Hodża Efendi jąka się.

— Co?

— Przysięgam „na umowę”.

— Co to znaczy?

— Za kichanie...

— Jakie kichanie?

— Osioł kichnął.

— Osioł kichnął?

— !!!

— ...

Dzieci kichają i śmieją się równocześnie. Starostę rozgniewała ta bezczelność przynosząca ujmę jego powadze. Pokazując zęby, jakby miał zamiar ugryźć, syknął:

— Precz stąd, niewychowani.

Przestraszeni, umilkliśmy natychmiast. Starosta zwrócił się do Hodży Efendiego, który zaniepokojony i oszołomiony, patrzył w ziemię.

— Proszę za mną.

Odeszli. Starosta na przedzie, za nim żandarmi i Hodża Efendi.

*

Od tego czasu nie ujrzelśmy w szkole ani *falaki* ani... Hodży Efendiego. Teraz, gdy widzę kogoś co kicha, przypominam sobie ten złośliwy figiel, jaki wyplatałem w dzieciństwie. Uśmiecham się. Serce dręczy jednak nieznany

ból. Staje przede mną smutna wizja biednego, białobrodego starca, który z mojej winy stracił stanowisko hodzy i — być może — głoduje. Z upływem czasu uczucie wstydu zamiast słabnąć, zwiększa się coraz bardziej.

— Ale...

Ale, czyż w życiu, za wielu śmiesznościami, nie kryje się ludzka tragedia?

Z tureckiego przelożyła
Stanisława Rymkiewicz

